

**Agata Kłopotowska**

## **Stawialiśmy opór**

(...) kiedy na świat cały grzmia moskiewskie spize,  
Gdy niejedno poselstwo stopy w Moskwie liże,  
A okłask dla przemocy brzmi na wszystkie strony –  
Ten Rejtan znów podnosi nie łeb podgolony,  
Lecz głowę wychynioną z dantejskiego piekła,  
Z której, zda się, krew cała narodu wyciekła. (...)  
I gdy wszystko przemocy gotuje owację,  
On woła: Nie pozwalam! I to on ma rację.

Jan Lechoń, *Rejtan*, 1944 r.

– Stawialiśmy opór, a przecież nie byliśmy aż tak naiwni, aby wierzyć, że jak się zorganizujemy, to obalimy komunizm – opowiada Antoni Lenkiewicz, mój ojciec. – Nasz sprzeciw wobec stalinowskiego reżimu był odruchem niemal bezwarunkowym. Uczestniczyliśmy w naturalnym oporze. Jako młodzi konspiratorzy chcieliśmy podnieść krzyk protestu, bo choć nie mieliśmy wówczas szansy na zwycięstwo, na laury, na odznaczenia, sumienie nakazywało ogłaszać swój sprzeciw tak jak ten Rejtan, który w wierszu Lechonia wołał "Nie pozwalam!". I to on miał rację.



**Antoni Lenkiewicz (ur. 1934 r.) zdjęcie wykonane w październiku 1952 r. w areszcie Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Pasłęku, przetrzymywane w esbeckich teczkach przez minione dekady, znalezione po 54 latach w archiwum IPN.**

Od dziesięciu miesięcy prowadzę z moim ojcem rozmowę. Długą, trudną rozmowę na temat lat powojennych, a więc czasów, kiedy on był nastolatkiem, licealistą, harcerzem i... więźniem politycznym. Wydaje mi się, że "od zawsze" wiedziałam, że jako były więzień stalinowski musiał wiele wycierpieć. Kiedy w dzieciństwie zadawałam mu jakieś niezdarne na ten temat pytania, zbywał mnie ogólnikami. Nie zaprzeczał, że było strasznie, ale też nic więcej, poza jakimiś pojedynczymi, wyrwanymi z kontekstu epizodami, nie opowiadał mi. I wreszcie przed rokiem wyraził zgodę na niekończący się wywiad ze mną. Zadaję mu więc coraz to nowe pytania, a on cierpliwie odpowiada. I tak wyłania się wstrząsająca historia, która uświadomiła mi, że jestem córką ocalonego. Mój ojciec w 1952 roku jako niespełna osiemnastoletni chłopak wpadł w ręce ubeckich oprawców i po długim, brutalnym śledztwie został skazany przez Sąd Wojskowy w Olszynie na 12 lat więzienia za udział w nielegalnej organizacji pod nazwą Związek Skautów Polski Walczącej i za to, że przemocą (co było zarzutem całkowicie absurdalnym) usiłował obalić ustrój Polski Ludowej. W myśl art. 86 Kodeksu Karnego Wojska Polskiego przestępstwo to podlegało "karze więzienia na czas nie krótszy od lat 5 albo karze śmierci". W tym samym procesie skazani zostali także jego koledzy: Edward Strzelecki na 12 lat, Kleofas Rundźjo na 10 lat oraz Gustaw Białobrzeski i Mieczysław Urbanowicz – obaj po 8 lat. Z całej piątki, oprócz mego ojca żyje dziś tylko Kleofas Rundźjo (od wielu lat na emigracji w USA). Pozostali trzej odeszli przedwcześnie. Historia mego ojca jest nie tylko osobistym świadectwem odwagi i niezłomności. Jest także historią pokolenia, które – jak to ujął Marian Guzek, także były więzień stalinowski – znalazło się wówczas "w potrzasku historii", niejako moralnie zmuszone, aby stawić opór molochowi bolszewizmu.

„Wyzwolenie” spod niemieckiej okupacji w 1945 r., a ściślej – jak słusznie poprawił mnie kiedyś historyk, prof. Marek Jan Chodakiewicz – "ucieczka niemieckiego okupanta przed Armią Czerwoną" nie przyniosła nam wolności. Polska, sama nie pytana o zdanie, ale za zgodą zachodnich sprzymierzeńców znalazła się w sowieckiej strefie wpływów. Oznaczało to początek nowego, obcego panowania. Stery rządów objęli namaszczeni przez Stalina urzędnicy i generałowie. Samozwańcza, powszechnie nieakceptowana komunistyczna władza przy wsparciu sowieckich czołgów i bagnatów sukcesywnie opanowywała kolejne tereny i obszary ziemi, kolejne dziedziny i przyłądki życia. Zapanował masowy i bezwzględny terror.

Pośród huku coraz częściej i szczelniej zatraskiwanych wrót więziennych cel opadła ostatecznie "żelazna kurtyna", a wraz z nią zapanowała czarna noc stalinizmu. Byliśmy osamotnieni, rzućni na pastwę krwiożerczego totalitaryzmu, drwiącego z prawdziwych wartości, szydzącego z wiary i Kościoła, plugawiącego i oczerniającego bohaterów narodowych, którzy jeszcze do niedawna oddawali krew w walce z nazistowskim najeźdźcą w szeregach AK, NSZ czy WiN. Nowy system budowano na zмовie kłamstwa i zbrodni.

W oficjalnej propagandzie lub na mocy państwowego dekretu białe stać się miało czarne, czarne zaś białe. Kto śmiał się temu szaleństwu przeciwstawić, ponosił niechybnie najwyższe ryzyko. Ówczesna władza nie znała bowiem litości. Coraz sprawniejszy, rozbudowany aparat terroru czuwał. W takiej sytuacji jakikolwiek opór czy protest był niewątpliwie zachowaniem sprzecznym z tzw. instynktem samozachowawczym. A jednak, na tę niebezpieczną, wąską ścieżkę wkroczyły wówczas

tysiące młodych ludzi, którzy – nawiązując do ciągle bardzo żywych wspomnień walki podziemnej i powstańczej swoich ojców i starszych braci podczas wojny – uznali, że nie mogą biernie przyglądać się zniewoleniu, że muszą tworzyć własne konspiracyjne związki.

Nielegalne organizacje młodzieżowe zaczęły powstawać masowo po rozwiązaniu przez władze w 1950 r. Związku Harcerstwa Polskiego. Niemal w każdej szkole średniej, zarówno w dużych miastach, jak i małych miasteczkach na terenie całego kraju, pojawiała się w jakimś momencie przynajmniej jedna taka organizacja. Młodzi konspiratorzy na wzór XIX-wiecznych filomatów i filaretów podczas tajnych spotkań dokształcali się w dziedzinie historii, czytali zakazane, przedwojenne książki, dyskutowali. Przeprowadzali też akcje ulotkowe, wypisywali antysowieckie hasła na murach, próbowali zdobywać broń, aby gdy nadejdzie odpowiednia chwila, móc czynnie włączyć się do walki o niepodległość Polski. Warto przy tym zauważyć, że słowo "niepodległość" było ciągle wówczas pojęciem niebudzącym wątpliwości, stanowiło dla tych młodych konspiratorów jasno określony cel, podczas gdy trzy dekady później, kiedy "wybuchła" Solidarność, która rozbudziła nadzieje na zmiany nie w tysięcznych, lecz milionowych rzeszach Polaków, hasło "niepodległość" niemal wyszło z użycia i powtarzane było już tylko przez nielicznych działaczy, niejednokrotnie uznawanych za nieodpowiedzialnych "ekstremistów".

Fala antysowieckiego oporu młodzieży w Polsce w latach 1944-1956, określana przez prof. Tomasza Strzembosza mianem "drugiej konspiracji harcerskiej", zdaniem jednego z jej uczestników, Tadeusza Kazimierza Mroza była w podzielonej traktatem jałtańskim Europie zjawiskiem zupełnie wyjątkowym: "W żadnym z państw bloku wschodniego nie było tak szerokiego wymiaru podejmowania walki z komunizmem przez młodocianych opozycjonistów".

Józef Poteraj we wspomnieniach *Moje zmagania z UB* (Wrocław, 2001) opisuje panującą w liceum duszną, niezdolną atmosferę donosicielstwa i fałszu: "...zakłamanie polityczne, które kazano nam przyjmować w szkole jako oczywistą prawdę, jawne bezczeszczenie naszej historii prowadziło do spontanicznego oporu. (...) W tych reakcjach buntu jako uczeń nie byłem odosobniony. Prawie wszyscy myśleliśmy jednakowo. Były tylko jednostki, które zaczęły wiernie służyć sprzymierzeńcom ze Wschodu".

Józef Urbanowicz w książce *Ocalić od zapomnienia* (Wrocław, 1997) wyznaje: "...wytwarzał się w naszych umysłach odruch buntu przeciwko temu, co było nam obce, nieprzystawalne. A tym była niewątpliwie obca ideologia rodem ze Wschodu narzucona narodowi przy pomocy kłamstwa, fałszu, bezprzykładnych represji i przemocy. My, młodzi wówczas chłopcy próbowaliśmy się stawać współczesnymi Rejtanami, przeciwstawiając się zjawiskom zniewalania, stając w obronie wartości zawartych w trzech słowach: BÓG, HONOR, OJCZYZNA".

Janina Szumska Wojdyło, koleżanka mego ojca z klasy, została aresztowana za udział w organizacji w drugim rzucie ubeckiego śledztwa w 1954 r. W 1953 r. wraz z koleżanką rozrzuciła ulotki wzywające rodaków do bojkotu nazwy Stalinogród, którą po śmierci Stalina nadano Katowicom. W odezwie tej napisała m.in.: "polskie miasto Katowice zbezczeszczone imieniem zbrodniczego Stalina; kazano z nabożeństwem wymawiać imię tego, który ocieka krwią katyńskiej masakry, wokół którego bieleją kości

tysięcy Polaków umarłych z głodu i chłodu na Syberii". "Samo pisanie tej ulotki było ogromną satysfakcją, że nareszcie wygarnę im, jak oni kłamią, bez przerwy kłamią" – wspomina.

Za bunt młodzież płaciła w ubeckich kazamatach wysoką, czasami najwyższą cenę. Aresztowani przez UB chłopcy i dziewczęta wpadali najczęściej w ręce bezkarnych sadystów, którzy mieli mandat od władzy ludowej, by stosować bez ograniczeń wobec swoich ofiar wymyślne tortury psychiczne i fizyczne. Chodziło przede wszystkim o pokazanie uwięzionym, że są niczym, że nikt się o nich nie upomni, że zostaną "zgnojeni" (ulubione słowo śledczych!). Po przekroczeniu progu Urzędu Bezpieczeństwa – pisze Poteraj – "przestałem być człowiekiem, stałem się przedmiotem, z którym można będzie robić wszystko według uznania dla potrzeb śledztwa, wykorzystując w tym celu najdoskonalsze metody". Wśród wypróbowanych sposobów, które miały doprowadzić do kompletnego wyczerpania ofiary, a w konsekwencji do jej złamania, stosowano m.in. "konwejer", czyli przesłuchanie ciągnące się przez dzień i noc bez przerwy przy zmieniających się ubekach; zamykanie w lodowatych i mokrych karcercach; głodzenie; zmuszanie do stania przez wiele godzin albo do skakania żabką lub robienia przysiadów aż do utraty przytomności; bicie, kopanie, polewanie wodą... Jedną z szatańskich metod śledczych było nakazywanie pisania niezliczonej ilości zyciorysów, które ubecy analizowali i skrzętnie wylądali w nich wszelkie nieścisłości, znajdując w ten sposób kolejny pretekst do dręczących przesłuchań.

Mój ojciec konsekwentnie odmawiał pisania zyciorysów, za co był bezwzględnie karany. W areszcie śledczym w Olsztynie zamykano go w tzw. szafie. "Było to bardzo małe pomieszczenie (ok. 1 m kw.) z podwyższonym progiem, tak aby wlewana tam woda utrzymywała się i powodowała dodatkowe cierpienie. W tym pomieszczeniu nie można było nawet przewrócić się, ani usiąść, a nogi po kilkunastu czy kilkudziesięciu godzinach puchły i nie utrzymywały ciała, które osuwało się bezwładnie. To rzeczywiście była jedna z najstraszniejszych tortur. Bicie w porównaniu z tym było znacznie łatwiejsze do zniesienia".

Po ciężkich śledztwach zapadały absurdalnie wysokie wyroki. Po wyrokach rozpoczynał się kolejny etap więziennej gehenny: transporty do ponurych i przepelnionych więzień centralnych we Wronkach, Rawiczu, Barczewie, Strzelcach Opolskich i innych. Więźniowie w owych czasach wykorzystywani byli nader często jako darmowa siła robocza. Zdolnych do pracy umieszczano więc w rozsianych po kraju obozach, z których do najbardziej znanych należy obóz w Jaworznie.

Komunistyczne władze w 1945 r. utworzyły w Jaworznie na terenie byłego obozu nazistowskiego (dawnej filii KL Auschwitz-Birkenau) Centralny Obóz Pracy. Początkowo przetrzymywano w nim jeńców niemieckich, folksdojczów i Polaków oskarżonych o kolaborację oraz ludność ukraińską wysiedlaną w latach 1947-48 z południowo-wschodnich województw w ramach akcji "Wisła", a następnie zwożono tam coraz liczniej polskich więźniów politycznych. W 1951 r. przekształcono go w eksperymentalny obóz pracy przeznaczony wyłącznie dla więźniów młodocianych. Uznano bowiem, że młodzież należy odseparować od starszych więźniów, którzy mieli – zdaniem władz – demoralizujący wpływ na młode i chłonne umysły. Młodych antypaństwowców chciano kształtować według modelu sowieckiego: przez pracę i indoktrynację, stosując koncepcje wychowawcze sowieckiego pedagoga Antona

Makarenki. Celem było oczywiście przerobienie tych młodych spiskowców na posłusznych i uległych obywateli, donosicieli i tajnych współpracowników.

Jaworzniacy twierdzą, że plan ten się nie powiódł. Większość nie uległa propagandzie i naciskom. Werbowani w obozie kapusie szybko byli przez kolegów rozpoznawani i solidarnie bojkotowani. W obozie w Jaworznie zawiązała się także więzienna konspiracja, której władze nie zdołały nigdy rozbić.

Praca w obozie zorganizowana była na wzór sowieckiego łagru: narzucano zawyżone normy, a za ich niewykonanie karano zmniejszeniem racji żywnościowych lub zamknięciem w karczerze zwanym bunkrem. Największą liczbę więźniów kierowano do katorżniczej i straszliwie niebezpiecznej pracy w kopalniach. Do licznych wypadków, kończących się czasem trwałym kalectwem, a nawet śmiercią, dochodziło także w dziale prefabrykacji.

Obóz otoczony był wysokim, murem z cegieł oraz drutem pod napięciem, "odziedziczonym" po nazistach. Kiedy więźniowie wracali o zmierzchu po pracy do swoich cel, często trzymali się kurczowo za ręce, gdyż z powodu złego odżywienia zapadali na tzw. kurzą ślepotę.

Byłych młodocianych więźniów politycznych okresu stalinowskiego określa się często mianem "jaworzniaków". Od 15 lat zorganizowani są w Związek Młodocianych Więźniów Politycznych lat 1944-1956, mają też swoją fundację i wydają miesięcznik *Jaworzniacy*.

Hasło "Jaworzno" jest tylko symbolem. Jak podkreśla mój ojciec, młodociani więźniowie polityczni PRL z lat 1944-56 siedzieli nie tylko w Jaworznie, lecz w setkach ośrodków penitencjarnych, więzień i obozów przymusowej pracy. "Niezmiernie istotne byłoby, aby ustalić choćby przybliżoną liczbę – ilu nas było?".

Lista więźniów politycznych, którzy przeszli przez Jaworzno z pewnością nie obejmuje wszystkich ówczesnych młodocianych antykomunistów. Wśród spiskowców były także dziewczęta. Obóz pracy dla młodocianych więźniarek mieścił się w Bojanowie koło Poznania. O ciężkiej pracy w pralni opowiadała mi wspomniana już wcześniej Janina Szumska.

Wydaje się, że przez tajne organizacje harcerskie i niepodległościowe przewinęło się wtedy kilkadziesiąt tysięcy młodych ludzi. Zdarzało się, że – jak ujął to w więziennej autobiografii Janusz Horodniczy – niektórzy z nich byli "młodszy od swoich wyroków"... Oby nie zapadło po nich głucho milczenie. Oby pamięć o ich oporze przetrwała.

***Post scriptum:* w dniu 23 września 2006 r. Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej prof. Lech Kaczyński odznaczył Antoniego Lenkiewicza Krzyżem Oficerskim Orderu *Polonia Restituta*. (red. *Glaukopisu*)**